

BEATA MAJEWSKA

*Jej
warunek*

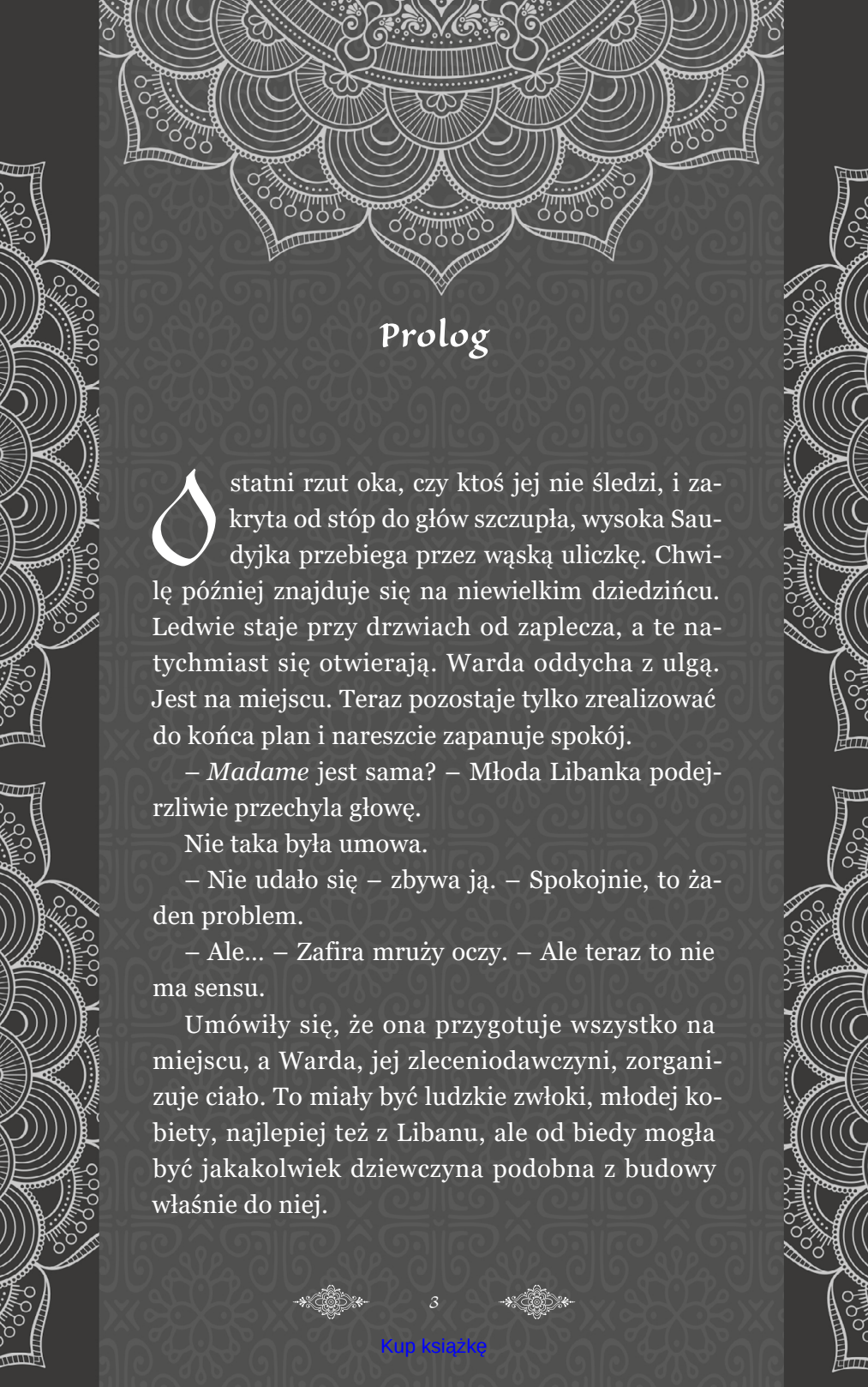


BEATA
MAJEWSKA

*Ię
warunek*

MIRAZ

[Kup książkę](#)



Prolog

 statni rzut oka, czy ktoś jej nie śledzi, i zakryta od stóp do głów szczupła, wysoka Saudyjka przebiega przez wąską uliczkę. Chwilę później znajduje się na niewielkim dziedzińcu. Ledwie staje przy drzwiach od zaplecza, a te natychmiast się otwierają. Warda oddycha z ulgą. Jest na miejscu. Teraz pozostaje tylko zrealizować do końca plan i nareszcie zapanuje spokój.

– *Madame* jest sama? – Młoda Libanka podejrzliwie przechyliła głowę.

Nie taka była umowa.

– Nie udało się – zbywa ją. – Spokojnie, to żaden problem.

– Ale... – Zafira mruży oczy. – Ale teraz to nie ma sensu.

Umówiły się, że ona przygotuje wszystko na miejscu, a Warda, jej zleceńodawczyni, zorganizuje ciało. To miały być ludzkie zwłoki, młodej kobiety, najlepiej też z Libanu, ale od biedy mogła być jakakolwiek dziewczyna podobna z budowy właśnie do niej.

Kiedy pożar strawi wszystko, a strażacy odkryją wśród zgłiszczy zwłoki, powinni przyjąć, że to Zafira spłonęła żywcem. Wprawdzie jeśli ofiarą podpalenia jest człowiek, służby winny wszcząć szczegółowe śledztwo, zidentyfikować ciało i odkryć, kim była ofiara pożaru, ale takimi ludźmi jak ona nikt się nie przejmuje. Jest tylko ubogą libańską służącą, których w Rijadzie pracowały i pracują tysiące. Anonimową, nieważną, przydatną wyłącznie za życia.

Niestety, Zafira już wie, że plan się zmienił, i bardzo ją niepokoi ten fakt.

– Nie marudź. Lepiej pokaż, jak to wygląda. – Warda rozgląda się uważnie, a kiedy widzi stojące w zaułku wąskiego korytarza trzy duże plastikowe butelki z przezroczystym płynem, pyta: – To alkohol?

– Nie. Czysty aceton.

– Nieźle. – Kiwa głową z aprobatą. – Będzie się palić, że ho, ho. To lepsze od benzyny.

Fortunnie dla jej planu prawie wszystko, co znajduje się w salonie kosmetycznym, jest łatwopalne. Wystarczy odrobina nieostrożności, żeby wzniecić pożar. Są tu podkłady kosmetyczne, ogrom produktów z bawełny, wielkie rolki ręczników papierowych, mnóstwo jednorazowych flizelinowych nakładek na materac oraz butle z alkoholem i zmywaczem. Lakiery do paznokci też się palą, podobnie jak te wszystkie plastikowe akcesoria używane przy manicurze i pedicurze. Jedyne, co nie spłonie, to narzędzia ze stali szlachetnej.



– Wyłączyłaś kamery? – Warda sobie uświadamia, że powinna była o to spytać od razu po przybyciu.

– Tak – uspokaja ją dziewczyna. – Woda zakręcona – dodaje.

W takim budynku jak ten obowiązkowo należy mieć system przeciwpożarowy. Pod sufitem każdego pomieszczenia znajdują się czujniki dymu połączone z automatycznym systemem gaśniczym. Zanim strażacy dotrą na miejsce, pożar nie powinien się rozprzestrzenić. Niestety, to zabezpieczenie nie zadziała, jeśli ktoś odetnie dostęp wody. Kiedy pojawią się służby, ogień zdąży opanować cały budynek. A potem, w trakcie śledztwa, wyjdzie na jaw, że ktoś specjalnie zakręcił zawór.

Zafira intensywnie myśli. Nie jest głupia, zawsze dawała sobie radę w życiu dzięki umiejętności logicznego myślenia i szybkiego kojarzenia faktów.

Ten plan ma same dziury.

– Po co ktoś by podpalał ten budynek? – pyta *madame* Wardę. – Jaka z tego korzyść?

– Przecież ci mówiłam. – Saudyjka wzrusza ramionami. – Żeby uzyskać wysokie odszkodowanie. Twoja szefowa na pewno wykupiła polisę. – Warda nie zniży się do tego, by głośno wymówić imię tej brudnej szmaty. – No właśnie: znalazłaś dokumenty?

– Tak. Są tutaj. – Dziewczyna wskazuje niewielką kupkę papierów leżącą na blacie biurka.

Po chwili dokumenty złożone na cztery lądują w saszetce ukrytej pod abają Wardy.



Kobiety idą na piętro. Tam Warda czujnie się rozgląda i sprawdza, czy wszystko jest przygotowane zgodnie z jej dyspozycjami. Jeszcze nigdy nie była w tym miejscu, dlatego strzela oczami na boki, ale mieszkanie tej przeklętej Polki nie wyróżnia się niczym szczególnym. Jest zwyczajne, a jak na saudyjskie standardy – bardzo ubogie i skromne. Warda nigdy nie osiadłaby w takim miejscu. Nie dość, że znajduje się nad punktem usługowym, to jeszcze zaraz przy ulicy.

– W porządku – mówi, wychodząc z prywatnych pomieszczeń kosmetyczki. – A ty gdzie śpisz? – pyta z pozoru beznamiętnym tonem.

Ale dziewczyna musiała coś wyczuć w jej głosie, a może już wcześniej zrozumiała, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Możliwe, że dostrzegła dziwny kształt czegoś ukrytego tuż przy aksamitnej szaszetce na dokumenty. To na pewno pistolet.

Już rozumie, jaki jest nowy – a zarazem stary, lecz udoskonalony – plan *madame* Wardy. Pójdą razem do jej małej sypialni urządzonej na zapleczu salonu, a tam *madame* Warda albo ją zastrzeli, albo zastraszy bronią, zamknie tutaj i podłoży ogień w każdym przygotowanym wcześniej punkcie. I tym sposobem plan się powiedzie. Zostanie wypełniony od początku do końca.

Nie odpowiada. Dopiero kiedy na powrót są na parterze, Zafira zatrzymuje się i spogląda hardo na kobietę, która obiecała jej masę pieniędzy, jeśli wszystko się uda.



– Myślałaś, że jesteś taka mądra? Co? – Bierze głęboki wdech.

Czeka ją rola życia.

Życia albo śmierci.

– O czym ty gadasz, bezczelna dziewucho? – pyta Warda, czując, że jednak nie przemyślała do końca wszystkich szczegółów, a na pewno nie doceniła Zafiry.

Wie, że popełniła błąd, wybierając właśnie ją, ale to nie takie proste znaleźć kogoś, kto jest skrajnie zdesperowany, kto odważy się popełnić dla pieniędzy przestępstwo, jest sprytny, dyskretny, a przy tym wierny i lojalny. Tych dwóch ostatnich cech niestety brakuje Libance.

„Zniszczę cię, zdiro” – wyklina na nią w duchu. „Nie wiesz, z kim zadarłaś”.

– Masz tam pistolet – odpiera Zafira i wskazuje głową na brzuch Wardy. – Już wiem, dlaczego przyjechałaś sama, ale coś ci powiem... – Młoda zadziera brodę. – Nagrywałam cię. Każde słowo, każdą rozmowę.

– Myślisz, że to ci pomoże? – Warda nie traci rezonu.

Wyjmuje broń, odbezpiecza i mierzy w Zafirę.

Jeśli młoda łże, nic się nie stanie, kiedy ją zastrzeli. A jeśli mówi prawdę, Warda i tak nie ma nic do stracenia, bo plan zostanie zrealizowany. Co potem? Będzie musiała opracować kolejny scenariusz, ale zawsze była w tym niezła.

– Mój brat ma te nagrania – chrypi Libanka.



– Brat? – Warda lekko unosi piękne, idealnie wy-modelowane brwi. – Jeszcze powiedz, że to ten, który pociął twoją śliczną buźkę. – Parska śmiechem.

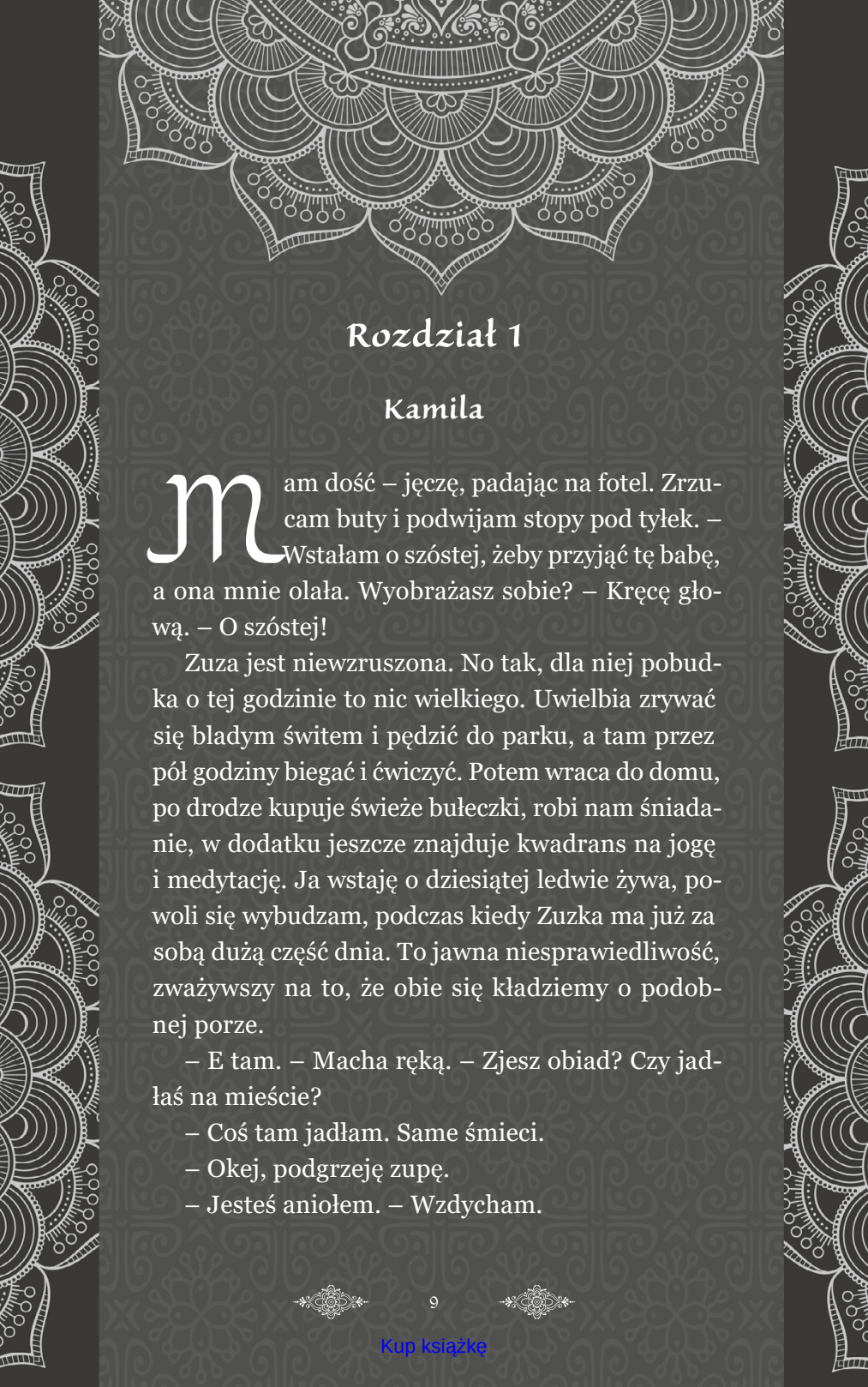
Zafira jest bliska omdlenia. Nadal jednak się trzyma. Ciągłe żyje, jeszcze oddycha. Żałuje bardzo, że dała się skusić obietnicami zarobku. Wprawdzie dostała dwadzieścia procent obiecanej sumy i już dawno wysłała kasę do domu, ale czy tylko tyle jest warte jej życie?

– Tak, to on. Widzisz, co potrafi, jeśli mu się sprzeciwić. – Dotyka szramy szpecącej jej policzek. – Uwierz, nie zawaha się przed niczym. Ma każde nagranie, co do minuty. Wie, kim jesteś. I bardzo mu się przydadzą twoje pieniądze. A kamery... – Lekko drży jej głos, bo teraz musi naprawdę przekonująco skłamać. – Myślałaś, że jestem taka głupia i wyłączyłam wszystkie? – Parska śmiechem.

– Blefujesz... – mówi cicho Warda.

Przesuwa lufę z czoła dziewczyny na jej szyję. Bez znaczenia, gdzie trafi pocisk. Czy w głowę, w szyję, w serce – los Libanki jest przesądzony.

– Stracisz wszystko – odpiera Zafira. – Ja nie mam nic. Nigdy nie miałam. Ale ty... Ty stracisz wszystko. Jego też...



Rozdział 1

Kamila

Mam dość – jęczę, padając na fotel. Zrzucam buty i podwijam stopy pod tyłek. – Wstałam o szóstej, żeby przyjąć tę babę, a ona mnie olała. Wyobrażasz sobie? – Kręcę głową. – O szóstej!

Zuza jest niewzruszona. No tak, dla niej pobudka o tej godzinie to nic wielkiego. Uwielbia zrywać się bladym świtem i pędzić do parku, a tam przez pół godziny biegać i ćwiczyć. Potem wraca do domu, po drodze kupuje świeże bułeczki, robi nam śniadanie, w dodatku jeszcze znajduje kwadrans na jogę i medytację. Ja wstaję o dziesiątej ledwie żywa, powoli się wybudzam, podczas kiedy Zuzka ma już za sobą dużą część dnia. To jawna niesprawiedliwość, zważywszy na to, że obie się kładziemy o podobnej porze.

– E tam. – Macha ręką. – Zjesz obiad? Czy jadłaś na mieście?

– Coś tam jadłam. Same śmieci.

– Okej, podgrzeję zupę.

– Jesteś aniołem. – Wzdycham.

Naprawdę tak myślę. Zuza spadła mi z nieba. Jest cudowna, kochana, ciepła i serdeczna. Troszczy się o mnie jak nikt inny i chociaż wiem, że najwyższy czas zacząć normalne, poważne życie, mieć rodzinę, męża, dzieci i tak dalej, wciąż trwamy w naszym stadle lesbijek niepraktykujących, jak nas nazywa Michał, brat Zuzki.

Czasami odwiedza siostrę, a wtedy pada nieśmiertelne pytanie, czy nareszcie mnie przeleciała. Zuza każe mu iść do diabła, wówczas Michał kieruje je do mnie, żeby enty raz usłyszeć, że jestem nieodmiennie i totalnie hetero. Nie wiem, co musiałoby się stać, żebym miała ochotę na kobietę. I chociaż Zuzka jest śliczna, drobna i niewysoka, bardzo zgrabna, ze słodką, idealnie symetryczną buźką, nie kusi mnie ani tyci.

Zresztą vice versa. Ja też jej nie kuszę, ponieważ moja przyjaciółka jest aseksualna.

– Chcesz do tego grzanki? – proponuje, gdy siadam przy stole.

– Chciałabym, chociaż nie powinnam chcieć. – Krytycznie patrzę na swój brzuch.

Nadal mieszcę się w absolutnie każdy ciuch, który mam, a moje wymiary są niezmiennie od wielu lat, lecz z coraz większym wysiłkiem utrzymuję ten stan i kiedy tylko sobie pofolguję, od razu widzę efekt na wadze w postaci dwóch dodatkowych kilogramów.

– To dietetyczne grzanki – mówi, hojnie je sypiąc z patelni. – Bo z czerstwego pieczywa.



– Taa... – Śmieję się. – Ten komunistyczny mit, że suchy chleb jest zdrowszy od świeżego.

Zuza jadła wcześniej. Spożywa posiłki o ściśle określonych porach, ponieważ tak jest zdrowo dla jelit. Nie to co ja – jem byle kiedy i byle co. To znaczy było tak, póki Zuza się nie wprowadziła. Teraz ona pije jakieś napary z ziaren – też na jelita – a ja wsuwam pyszną zupę.

Kiedy kończę, Zuza sprząta kuchnię na błysk.

Ktoś mógłby pomyśleć, że coś nie tak z podziałem obowiązków w naszym domu, lecz to nieprawda. W tej materii jesteśmy zgrane – Zuza rządzi niepodzielnie w kuchni, robi zakupy i dba o zaopatrzenie. Ja zajmuję się praniem, prasowaniem i myciem sanitariatów. Finansuję wszelkie potrzeby domowe, z kolei ona płaci rachunki za media, ale telefony opłacamy sobie same. Każdy aspekt naszego życia został ustalony i trzymamy się ściśle zasad. Tak jest najlepiej.

Dlatego gdy odkładałam aparat po rozmowie, która odbyła się godzinę później, jestem w kropce. W wielkiej czarnej kropie...

– Powinnaś jechać. No jedź – mówi twardo Zuza. – Jak nie pojedziesz, będziesz cholernie żałować.

– Wiem, że będę – mamroczę pod nosem. – Boże, co ja mam zrobić?

Wstaję z kanapy i zaczynam krążyć po salonie.



Telefon od księcia Omara rozwalił mój misterny plan. A było tak pięknie. No prawie. Wprawdzie jeśli mowa o tym mieszkaniu, o naszym wspólnym babskim życiu, to faktycznie było piękne, ale cała reszta...

– Leć. Zobaczysz, będzie mega. – Zuzka upija łyk wina.

To ona wymyśliła, że trzeba uczcić propozycję mojego starego przyjaciela, jeśli mogę tak rzec o Omarze. Ten facet to mój niespełniony sen o wielkiej arabskiej miłości. Ucieleśnienie snów i fantazji każdej kobiety – prawdziwy saudyjski książę, przystojny jak diabli, obrzydliwie bogaty, absolutnie idealny, szarmancki, wspaniały, inteligentny, wykształcony i w ogóle naj. Niestety ma jeden feler – żonę, w której jest zakochany do szaleństwa. I kupę dzieci, jej oraz ich wspólnych.

Czyli odpada.

– Nie wiem. – Zatrzymuję się i bezmyślnie gapię w okno.

Uwielbiam ten apartament i okolicę, nasze niewielkie, kameralne, ale ekskluzywne osiedle z dobrą ochroną i administracją, która nim zarządza. Ale komu to zawdzięczam? Omarowi. Mnie nigdy nie byłoby stać na zakup apartamentu w tym miejscu. To mój nieosiągalny ideał kupił mi to mieszkanie na otarcie łez. Mało tego – opłacił wszelkie daniny do skarbowki, bo przecież była to darowizna, a przez pierwsze dwa lata pokrywał czynsz i media. Niesamowity gest, choć on sam uważał, że



to drobiazg, i faktycznie, w przełożeniu na stan posiadania księcia Omara to lokum stanowiło żaden wydatek. Nie zmienia to faktu, że długo czułam się co najmniej niezręcznie, trochę jak utrzymanka, z której jego wysokość w ogóle nie korzystał. I to było chyba najgorsze.

Teraz, kiedy mieszka ze mną Zuza i razem ponosimy wszelkie koszty, jest mi łatwiej. Warszawa to drogie miasto. Nawet jeśli gospodaruje się pieniędzmi oszczędnie, one uciekają nie wiedzieć kiedy i gdzie.

– Chyba zrezygnuję – mówię markotnym tonem.

– Przestań. – Zuzka przewraca oczami. – O co ci chodzi? Bezustannie marudzisz, że kochasz Arabię Saudyjską, że chciałabyś tam mieszkać, a teraz, gdy możesz, to nie chcesz. Ja pitolę, co za głupota. – Uderza się dłonią w czoło.

– A kasa? Nie dasz rady sama się tu utrzymać – zauważam.

– No przecież już mówiłaś, że tam zarobisz dzielić razy tyle co tutaj. Jaki problem zapłacić swoją część? Zresztą nawet bez twojej pomocy dam radę. Dobrze zarabiam.

Fakt. Zuzka radzi sobie doskonale. Jest redaktorką w jednym z największych polskich wydawnictw, dodatkowo łapie fuchy i miesięcznie wyciąga ze trzy średnie krajowe. Na dodatek pracuje zdalnie, a więc nie traci czasu i pieniędzy na dojazdy do pracy.

– No błagam – oburzam się. – Nie będziesz wszystkiego opłacać, bo mnie się zachciało wojaży. Też pomysł. – Potrząsam głową.



– To o co ci chodzi, kobieto? – Bierze butelkę i napełnia kieliszek. – To tylko dwa lata.

– Trzy – koryguję, bo się machnęła.

Omar przekazał, że kontrakt na wynajem salonu kosmetycznego wraz z wygodnym apartamentem mieszkalnym obejmuje pełne trzy lata. Salon znajduje się na terenie strzeżonego osiedla dla ekspatów, a ta lokalizacja cieszy się doskonałą opinią, jeśli mowa o standardzie życia. Tę dzielnicę Rijadu zamieszkują głównie przybysze z zagranicy, w szczególności z Wielkiej Brytanii, ale jest też mnóstwo Francuzów i osób z krajów skandynawskich.

– Ponoć możesz w razie czego zrezygnować.

– Ale wtedy musiałabym wypowiedzieć umowę.

– Jezu... – stęka Zuza. – Trzymajta mnie, bo zaraz oszaleję. Bo wypowiedzenie umowy to taki dramat i tragedia. Mnożysz problemy.

– I sięję defetyzm – wygłaszam jedno z jej ulubionych powiedzonek.

– Owszem. I wykazujesz malkontenctwo.

– A co z tobą?

– Ze mną? – Wskazuje na siebie palcem. – A co ma być?

– Będziesz tęsknić?

– Tu cię mam, bratku. – Z tryumfem kiwa głową. – Słuchaj no, pokemonie. – Zuzka uwielbia nadużywać młodzieżowego slangu i przeplatać go z archaizmami. – No przeca, że będę tęsknić, ale ty za mną bardziej, co nie? – Śmieje się. – Bez obaw. Znajdę jakiegoś enpeceta i wprowadzi się w zastępstwie



za ciebie. A jeśli nie znajdę, kupię babę z kartonu. No wiesz, taką wyciętą figurę – mówi, a ja krzywię się na jej bełkot. – Jest coś takiego jak internet, wiesz? Możemy gadać do woli. Codziennie.

– A kto będzie prał?

– Argh... – Aż się w niej gotuje. – Pralka!

– No nie wiem.

– Posłuchaj! Marzyłaś o tym, żeby wrócić do tej pieprzonej Arabii. Tysiąc razy słyszałam, że Omar cię zaprasza, że jego żona cię zaprasza, że jego dzieci cię zapraszają i tak dalej, a ty mówiłaś, że to kurtuazyjne zaproszenie i nie ma mowy.

– Bo nie ma mowy. W życiu nie pojechałabym tam, żeby poznać jego żonę, siedzieć w saloniku i pić z nią kawkę. Bez jaj. Mam jeszcze honor. Szczątkowy, ale jednak. – Siadam na kanapie i tkwię sztywno jak kolek. – Znam swoje miejsce. Nie mogę mu się narzucać.

– Ale teraz się nie narzucasz. Będiesz piłować pazury i mieszkać w Rijadzie, a on w tym... w tym... – Macha ręką, bo zapomniała nazwy miasteczka w Szwajcarii, gdzie książę spędza większość czasu ze swoją dużą rodziną.

– Powiedział, że to oferta grzecznościowa. Że jego siostra korzystała z usług poprzedniej kosmetyczki, dlatego wie, że tamta zrezygnowała i zwolniło się miejsce – powtarzam to, czego dowiedziałam się z naszej rozmowy.

– Otóż to! – Zuzka podnosi palec wskazujący. – To normalna sytuacja. Nic w tym złego, że



cię powiadomił o takiej fajnej okazji. A ty zrobisz, jak chcesz: albo olejesz temat, albo tam polecisz. Nic na siłę. Ale... – Znowu podnosi palec. – Jak nie polecisz, a potem piśniesz choć raz, że tu jest zimno, że pada, że nie ma słońca, że ty chcesz do Rijadu, przysięgam, zabiorę manatki i sama tam polecę. I będę skrobać pięty bogatym Saudyjkom.

– Nie skrobię pięt – fukam.

– No wiem, wiem. Peelingujesz.

– Zuzka... – Chwytam się za głowę. – Cholernie chcę tam lecieć, ale... ale jak pomyślę, że cię stracę, że na przykład znajdziesz kogoś i już nie będziesz chciała poczekać na mnie, to... – Przelykam ślinę.

– Pamiętasz, jak się umówiliśmy? Mieszkamy razem tak długo, jak to odpowiada nam obu. Jeśli któraś z nas znajdzie kogoś na stałe, wtedy rozmawiamy o tym, jak rozwiązać problem. To twoje mieszkanie i liczę się z tym, że któregoś dnia przyprowadzisz tu jakiegoś miłego faceta, a jak mawia wieszcz: troje to już tłum. Kami, nasze ścieżki kiedyś się rozejdą, ale nigdy nie przestaniemy się przyjaźnić. Łap chwile, no. – Szczerzy zęby. – Przyrzekam, będę na miejscu i nie ruszę się nawet na krok. A ty leć.

– Mam mętlik w głowie.

– Na pewno. – Przesuwa drugi kieliszek w moją stronę. – Pij.

– Będę łatwiejsza? – Chichoczę.

– Ano. – Kiwa głową.

– Muszę to jeszcze przemyśleć.



– Do kiedy masz dać odpowiedź?
– Do jutra.
– To niewiele czasu na przemyślenia.
– Nie pomagasz – burczę pod nosem.
– Ach, ten Omar... Co on z tobą wyprawia? –
Teatralnie wzdycha. – Czasami ci zazdroszczę, tyle
skrajnych emocji. Co za napięcie... Te rozterki i dy-
lematy, czy skrobać pięty polskich kobiet, czy jed-
nak tych arabskich.

– Jesteś wredną małpą.
– A ty sierotą życiową, jeśli nie skorzystasz.
I koniec. Koniec tego pitolenia. Idę zrobić pizzę. –
Zuza wstaje żwawo z kanapy.

– Kto mi będzie gotował? – jęczę, gdy sobie
uświadamiam, że właśnie tracę najlepsze na świe-
cie domowe posiłki.

– Zabijcie mnie...

– A Kacper? – Wytaczam najcięższe działo.

Kacper to mój Ken, jak mawia Zuzka, czyli ktoś,
kto pasuje do mnie wizerunkowo, jest fatalny
w łóżku – to wie z moich skąpych relacji – i nigdy
nie ma hajsu na markowe ciuchy, dlatego próbuje
sępić kasę.

– No teraz to pierdolnęłaś! – Zuzka klnie tyl-
ko w stanie najwyższego wzburzenia. – To go tam
zabierz! Jednego popaprańca mniej w tym kra-
ju. A niech go przerobią na paszę dla wielbłądów.
O ile wielbłądy jedzą takie kupsko.

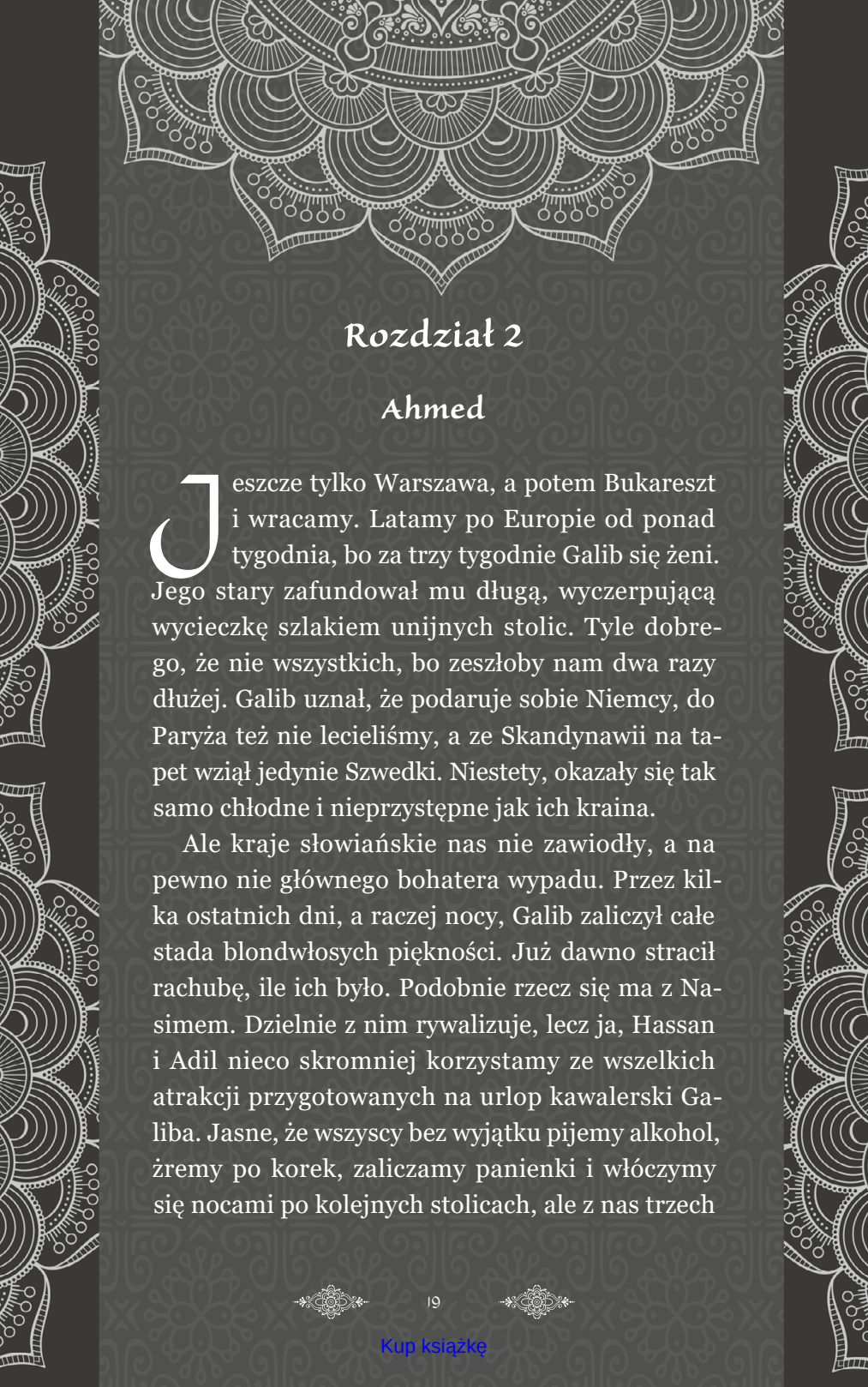
– Chyba to jednak roślinożerne zwierzęta – za-
uważam rzeczowo.



– To nie wiem. Niech go przerobią na opał. No nie, tam nikt nie potrzebuje opału. Tak czy owak, najlepiej, jak się po prostu zgubi na lotnisku. A teraz idę robić pizzę, a ty marsz do sypialni.

– Hę? – Pochyliam się nad stołem.

– Pakować gacie. No już!



Rozdział 2

Ahmed

Jeszcze tylko Warszawa, a potem Bukareszt i wracamy. Latamy po Europie od ponad tygodnia, bo za trzy tygodnie Galib się żeni. Jego stary zafundował mu długą, wyczerpującą wycieczkę szlakiem unijnych stolic. Tyle dobrze, że nie wszystkich, bo zeszłoby nam dwa razy dłużej. Galib uznał, że podaruje sobie Niemcy, do Paryża też nie lecieliśmy, a ze Skandynawii na tapet wziął jedynie Szwedki. Niestety, okazały się tak samo chłodne i nieprzystępne jak ich kraina.

Ale kraje słowiańskie nas nie zawiodły, a na pewno nie głównego bohatera wypadu. Przez kilka ostatnich dni, a raczej nocy, Galib zaliczył całe stada blondwłosych piękności. Już dawno stracił rachubę, ile ich było. Podobnie rzecz się ma z Nasimem. Dzielnie z nim rywalizuje, lecz ja, Hassan i Adil nieco skromniej korzystamy ze wszelkich atrakcji przygotowanych na urlop kawalerski Galiba. Jasne, że wszyscy bez wyjątku pijemy alkohol, żremy po korek, zaliczamy panienki i włóczymy się nocami po kolejnych stolicach, ale z nas trzech

żaden nie musi dzisiaj szukać apteki, żeby zdobyć coś na – jak to określił Galib – nagle zużycie fiuta. I bynajmniej nie chodzi o specyfiki poprawiające potencję, bo ta, co dziwne, zważywszy na całonocne balangi, dopisuje Galibowi.

Rano chciał mi pokazać, w czym rzecz. I to przy śniadaniu. Jeszcze tego brakowało, żebym oglądał uszkodzenia jego kutasa. Jedyne, na co się zgodziłem, to towarzyszenie mu w wycieczce do centrum handlowego. Oczywiście spytałem idiotę, czemu nie poprosi o pomoc naszego konsjerża. Stary Galiba zainwestował w najbardziej luksusowe i kosztowne apartamenty w hotelach pięciogwiazdkowych, żeby jego jedynak mógł uroczyście i z pompą pożegnać stan kawalerski, właśnie dlatego w każdym z nich jesteśmy pod czułą opieką osobistych służących.

– Chyba oszalałeś! – nawrzeszczał na mnie. – Jak to będzie wyglądać? Mam gadać obcemu facetowi, że fiut mnie boli?

– A czemu nie? – Adil zarechotał. – W końcu za coś mu płacisz.

– Na pewno nie za oglądanie kutasa – oznajmił Nasim. – Za to płaci komuś innemu. – Uśmiechnął się lubieżnie na wspomnienie ostatniej nocy spędzonej w towarzystwie ośmiu polskich ślicznotek.

– Nie można na was liczyć – fuknęła Galib.

Żeby nie czuł się taki pokrzywdzony – bo trzeba przyznać, bawimy się nieźle – pojechałem z nim



na poszukiwania specyfiku na otarcia. Szofer hotelowy wysadził nas pod jakimś centrum i już od godziny szwendamy się po sklepach, a właściwie szukamy apteki.

– To chyba apteka? – Galib wskazuje przeszklone drzwi. – Albo znowu jakaś pieprzona drogeria.

– Apteka – potwierdzam.

– No chodź. – Patrzy na mnie.

– Muszę odpowiedzieć Malice. Wysłała mi wiadomość głosową. – Pokazuję mu wyświetlacz telefonu.

– Potem odpowiesz. Chodźże.

– A ty co? Wstydzisz się? – Parskam pod nosem.

– To się wal! – ustępuje.

Bez przesady, niech sam ogarnia swoje sprawy, zwłaszcza takie. Poza tym mam dość jego zagrywek wobec tutejszych kobiet. Galib traktuje je wszystkie jak zabaweczki. Myśli, że każda jest dziwką, każdą można przelecieć i tylko do tego służą. Flirtuje z nimi, posługując się fatalną angielszczyzną, i powoli przestaje mnie to bawić. Przyjaźnimy się od lat, ale jeszcze nigdy nie spędziliśmy razem tyle czasu, dlatego moja tolerancja na wybryki Galiba się kończy. Co innego spotykać się raz na kilka tygodni i polecieć na weekend do Dubaju czy Londynu, a co innego siedzieć ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Galib wchodzi do apteki, a ja zajmuję miejsce na pobliskiej ławce i zabieram się do nagrywania wiadomości. Malika pyta, jak się bawię i czy Warszawa jest fajna. Przedwczoraj byliśmy w Pradze.



Zadzwoiłem do niej po południu i zdałem relację ze zwiedzania starówki. Uwielbia takie opowieści, a kiedy przywożę coś na pamiątkę, cieszy się jak dziecko.

Wysłałem szybko audio, bo po powrocie i tak muszę wszystko opowiedzieć na nowo, oczywiście pomijając sferę związaną z nocnymi hulankami. Dla Maliki jestem niewinny, porządny i uprzejmy. Wprawdzie wie, że pijam alkohol, zwłaszcza na wyjazdach, kiedy Allah nie patrzy, ale to, co się dzieje w moim życiu towarzyskim, stanowi tabu.

Rozważam, czy nie dołączyć do Galiba, bo jego wizyta w aptece się przeciąga. Stoi przed farmaceutką i coś nawija. Niestety nie słyszę, co gada – a może stety, ponieważ nawet stąd zauważam zachowanie młodej kobiety. Miała cholernego pecha, że trafił się jej taki namolny klient. Jest skrępowana i zawstydzona, co rusz poprawia okulary i nerwowo chichocze. Co gorsza, w środku nie ma innych osób, zatem nie musi się spieszyć.

Chowam komórkę do kieszeni i już mam wstać, kiedy z lewej strony nadchodzi jakaś laska i dołącza do klienteli apteki.

Ja nie mogę. Teraz będzie cyrk. Galib zdobył właśnie publikę. Peroruje jak najęty, gada to do sprzedawczyni, to do tej wysokiej dziewczyny. Ależ jest piękna. Szczupła, ubrana w codzienne ciuchy: dżinsy, lnianą białą koszulę i sandały na płaskich podeszwach. Miła odmiana po krótkich, wyzywających kieckach i nieodłącznych szpilkach, w których



biegają wszystkie te słodkie blond kociaki przybawające do hotelu, żeby umilić nam czas.

Nie odrywam wzroku od ciemnowłosej ślicznotki. Ona też jest pod wrażeniem zagrywek mojego kumpla, ale to inny typ niż farmaceutka. Kiedy Galib zbliża się do niej i coś mówi, staje jak wryta, otwiera usta ze zdumienia i przechyla głowę, by po chwili wybuchnąć takim śmiechem, że aż się składa wpół. Wprost rechocze, uderza się raz po raz w udo, ale w sekundę poważnieje. Podchodzi do Galiba i coś mówi, celując w niego palcem wskazującym.

Musiała go dźgnąć paznokciem, bo się odsunął.

– Nieźle, mała... – mruczę pod nosem, obserwując scenę. – Ciśnij mu, złotko...

Niestety, zabawa szybko się kończy. Mija niewiele ponad minuta i Galib wychodzi na zewnątrz.

– I co tam? – zagaduję. – Czego chciała ta laska?

– Jaka laska?

– Ta ładna. Kucyk, biała koszula i tak dalej...

– Ładna? Masz problemy ze wzrokiem. Spadamy stąd. – Rusza energicznie przed siebie.

– Załatwiłeś? – pytam, doganiając go.

– Co?

– No co? Lekarstwo.

– No mam to gównno.

– To jest gównno? – Wskazuję brodą na miniaturową torebkę foliową, w której coś niesie.

– To maść, jełopie.

– Aha. Na fiuta?

– Daj spokój – warczy.



Kusi mnie, żeby spytać, co takiego powiedziała mu ta urocza Polka, ale jest tak wściekły, że wołę go nie prowokować. Jeszcze gotów tam wrócić i narobić nam wstydu.

Idziemy coś przekąsić, a kiedy kończymy deser, Galib znowu ma doskonały humor. Już zapomniał o sytuacji w aptece, na dodatek udało mu się poderwać kelnerkę i zdobyć jej numer, o ile podała mu prawdziwy. Jeszcze trochę łazimy po sklepach, a gdy mijamy jeden z nich, zauważam na wystawie fajne puszyste pledy i dywany. Postanawiam tam wrócić. Malika uwielbia takie rzeczy.

Na szczęście obsługuje nas koleś. Wprawdzie od razu się orientuję, że młodziutki blondyn woli naszą płć, bo gapi się na mnie jak na ósmy cud świata i rumieni aż po szyję niknącą w wysoko zaپیętej białej koszuli, ale mnie to nie rusza. Galib chyba też go wyczuł swoimi radarami, dlatego oddala się od nas i ogląda dywany.

– Mogę zobaczyć jeszcze ten? – Wskazuję na kaszmirowy pled przewieszony artystycznie przez oparcie fotela.

– Mamy różne kolory. Jest jeszcze ciemnognatowy i...

– Kolor nie ma znaczenia – przerywam mu.

– Jak to: nie ma? – Jego niebieskie oczy ledwie tkwią na swoim miejscu. – Kolor jest ważny.

– Nie zawsze.

Międlę w dłoni tkaninę. Jest delikatna i miła, ale to jeszcze nie to.



– A ten? – Pokazuję.

– Ten jest z dodatkiem syntetyku. – Krzywi się nieznacznie.

– Ale jest miękki w dotyku. – Gładzę długie włókna.

– No tak, jest bardzo miękki. – Facet chyba uznał, że go podrywam, bo kładzie dłoń na pledzie, prawie dotykając mojej.

– Wezmę go – decyduję.

– Ja jednak postawiłbym na prawdziwy kaszmir. Pokażę ciemnogrnatowy, jest przepiękny.

– Dziękuję, ale już wybrałem.

Zaraz go walnę. Co za nachalny ciołek.

– Dobrze, ale te pledy również mamy w różnych odcieniach, są...

– Wezmę ten.

Trzymajcie mnie.

– Jak to możliwe? – drąży. – Żona nie przywiązuje wagi do kolorów? – Ni to stwierdza, ni to pyta.

– Nie – ucinam temat.

Nie wyprowadzam go z błędu. Przynajmniej się odczepi, myśląc, że jestem żonaty.

Galib podchodzi i patrzy, jak finalizuję transakcję.

– Koc? Po cholere jej koc? – Pewnie pije do tego, że w Saudi rzadko bywa na tyle chłodno, żeby się przykrywać, ale w styczniu noce bywają chłodne, a Malika uwielbia spędzać wieczory na tarasie od strony różanego ogrodu. Wtedy przydaje się coś cieplejszego, żeby zarzucić na nogi.



– Malika lubi takie rzeczy – mówię, zabierając dużą papierową torbę.

– Proponowałem inny kolor, ale szanowny pan się uparł – pada skarga z ust młodzika. – Skoro to ma być prezent dla kobiety, lepszy byłby jaśniejszy odcień, coś z beżu albo w rudościach.

– Człowieku, ona nie widzi. – Galib jak zwykle jest prostolinijny i nie owija w bawełnę. – Jest ślepa od urodzenia.

– Och. – Chłopak przytyka palce do ust. – Przykro mi. Przepraszam, nie chciałem pana urazić – zwraca się do mnie.

Jest mu wyraźnie głupio.

– Nic się nie stało – odpieram.

Wychodzimy ze sklepu i prawie taranujemy kogoś w przejściu. Co za zbieg okoliczności – to znowu ciemnowłosa piękność, która była w aptece. Oczywiście Galib nieomal na nią wpadł, dlatego dziewczyna nawet na mnie nie patrzy, tylko wzdycha teatralnie i gromi go wzrokiem, żeby zszedł jej z drogi. Mój towarzysz natychmiast to robi.

– Widziałeś? – Rechocze, kiedy się stamtąd oddalamy. – To ta dupa z apteki. Poznałem ją od razu.

– Nie może być – kpię z niego. – Rozróżniasz je?

– Pewnie, że tak. Akurat ja mam dobry wzrok.

Co za gnojek. Wie, że nie lubię, kiedy nabija się z Maliki.

– Ona mnie śledzi! – Zatrzymuje się i odwraca.

– Ta... zdecydowanie. Co ty masz w głowie, człowieku?



– Mówię ci. Najpierw była w aptece, a teraz w sklepie z kocami. Zobaczysz, jak wejdziemy tam... – Wskazuje wejście do sklepu z męską odzieżą. – ...ona też się pojawi. Leci na mnie.

– Lepiej gadaj, co ci powiedziała.

– Co powiedziała, co powiedziała... – przedrzeżnia mnie.

Ostatecznie nie zaliczamy butiku z garniturami i wracamy do hotelu. Muszę zebrać siły, bo czeka nas druga i ostatnia noc w Warszawie. Potem jeszcze stolica Rumunii i nareszcie do domu.

Kamila

Zuzka płacze ze śmiechu, kiedy referuję jej spotkanie w aptece. Ale to było tak zabawne, że sama się śmieję na myśl o krótkiej rozmowie między mną a jakimś Arabem. Z tego, co potem mówiła farmaceutka, wynika, że facet pochodzi z Arabii Saudyjskiej. I pomyśleć, że Omar jest tej samej narodowości, a różnica między nimi to jak stąd na Księżyc.

– A wiesz, co jest najlepsze? – kwiczę, bo przypomniałam sobie kolejny szczegół. – Że potem kupiłam taką samą maść jak ten koleś. W dodatku trzy tubki, bo to naprawdę świetna rzecz i kosztuje grosze.

– Tak? Pokaż no tę maść.



Przynoszę torebkę i wręczam Zuzce, żeby mogła zobaczyć ten wspaniały specyfik na bolącego penisa.

– A powiedziałaś, że ta mała tubka spokojnie powinna mu starczyć do końca życia? – pyta Zuza. – Nawet jeśli będzie smarował maścią jaja i przyległości?

Tak się śmieję, że spadam z kanapy, bo opakowanie maści z witaminą A na trudno gojące się rany naprawdę ma niewielkie wymiary.

– Jesteś niemiła... – wyduszam, chichrając się.

– Ja? W życiu. To ty byłaś niemiła.

– Ja?! W życiu – naśladowuję ją. – Byłam miła jak diabli.

– Powiedzieć takiemu, że go na ciebie nie stać? Złamałaś mu serce. I złotą kartę kredytową.

– No sorry, ale co miałam powiedzieć? Potem, jak wyszedł, ta aptekarka mi wszystko opowiedziała. Że chciał z nią iść na zaplecze, żeby pooglądała uszkodzenia, wyobrażasz sobie? A kiedy odmówiła, zaczął pytać, ile kosztuje taka usługa, i mówił, że zapłaci. Najlepiej, żeby mu obciągnęła, wtedy wszystko przejdzie.

– Dziwne, że nie wezwała ochrony. Ja bym się nie pitoiła z takim idiotą – fuka Zuzka. – Co za bezczelny gnojek.

– A! Jeszcze sobie przypomniałam, że jak płacił, coś poszło nie tak i odrzuciło transakcję. Wyjął sto euro i dał jej, a ona na to, że musi być nasza waluta. To wyjął jeszcze jeden banknot i powiedział, że ma za niego zapłacić, a reszta dla niej. Kminisz?



– Ma facet tupet. I co zrobiła?

– Oddała mu te pieniądze. Powiedziała, że nie wolno jej przyjmować zapłaty w euro, i pokazała mu kamerę nad stanowiskiem.

– Nie mów, że ostatecznie nic nie zapłacił.

– Teraz będzie najlepsze. – Podnoszę palec. – Ja zapłaciłam za tę maść.

– Ty? – Zuza wytrzeszcza oczy. – Pogięło cię? Fundujesz maść takiemu bogatemu chujkowi?

– Błagam, kosztowała siedem złotych z groszami. – Macham ręką.

– Siedem złotych do siedmiu złotych i będzie szyb naftowy. To jednak prawda z tą oszczędnością bogaczy. Zbudował majątek na darowiznach od ubogich i teraz się buja po świecie.

– W każdym razie utarłam mu nosa.

– Zgadza się – potakuje Zuzka. – Masz już wszystko?

Pyta o moje zakupy przed wyjazdem.

– Raczej tak. – Przenoszę wzrok na sześć sporych kartonów przygotowanych do zabrania.

Omar się uparł, że przyśle samolot. Cały czas mnie to gnębi, bo z jednej strony zdecydowanie wygodniej lecieć do Arabii Saudyjskiej prywatnym odrzutowcem i mieć możliwość zabrania absolutnie wszystkiego, co tylko przyjdzie mi do głowy, a z drugiej – to okropne marnotrawstwo pieniędzy. Na dodatek nie moich pieniędzy, tylko księcia. I chociaż wiem, że ten wydatek nie naruszy istotnie jego majątku, jest mi głupio. Zwłaszcza przed



jego żoną. Co sobie teraz o mnie myśli? Że jestem jakąś żalosną naciągaczką?

– Może jednak zadzwonię do Omara i powiem, że polecę samolotem rejsowym? – pytam, skubiąc skórę przy paznokciu.

Jestem typowym przykładem szewca, który chadza bez butów. Moje klientki zawsze mają na czas odświeżone paznokcie, podczas gdy ja robię manicure dopiero wtedy, gdy połowa płytek jest połamana. Muszę to zmienić.

– Teraz chyba już za późno na takie kombinacje. – Zuzka odwraca się od blatu, na którym szykuje francuską tartę z jabłkami.

Gdy podjęłam decyzję, że ruszam na podbój Bliższego Wschodu, próbuje osłodzić mi ostatnie dni w Warszawie. Piecze ciasta, szykuje moje ulubione dania i zaraz powiem, że pieprzę, nigdzie nie wyjeżdżam, bo oszaleję bez niej.

– Umowa podpisana, ale mogę się wycofać. Zaliczkę mam wpłacić jutro. To znaczy Omar zapłaci, a ja mu oddam w ratach – przypominam.

– Dobry z niego człowiek. Musi cię bardzo lubić. – Zuza kiwa głową.

– Na szczęście tylko lubi. Powiem tak: gdyby przez te kilka ostatnich lat choć raz dał mi do zrozumienia, że ma ochotę na coś więcej niż neutralna znajomość, zerwałabym kontakt. Nie mogłabym spojrzeć sobie w oczy. To byłoby bardzo nie fair wobec jego żony.



– Przecież on to doskonale wie. – Zuzka parska śmiechem. – Myślisz, że jest głupi? Znam cię i wiem, że nie z tobą takie numery. Jesteś zbyt uczciwa.

– Ależ mi słodzysz. – Unoszę brwi.

– Mówię prawdę. Jesteś uczciwa. Dlatego ci głupio, że on znowu ci pomaga, a ty nie masz jak się odwzajemnić, bo co możesz? Ale przestań o tym myśleć. Pomaga, bo chce. Ma taki kaprys i już. Szkoda czasu na analizy. A może w przeszłości zgrzeszył i jesteś elementem pokuty? Nie pomyślałaś o tym?

– Mateńko, co ty chrzaniś, Zuzka? Jakiej pokuty? – Śmieję się. – Ten facet naprawdę jest megadobrym człowiekiem. Nie wierzę, że byłby w stanie wyrzucić komuś krzywdę.

– Taa... dobry człowiek. Anioł w ludzkiej skórce. Oj, jesteś naiwna do bólu. – Zuza unosi kulę ciasta i mocno uderza nią o blat. I jeszcze raz. Aż drży stojak z filizankami. – Mówiłaś, że jego żona odeszła od niego, a potem wróciła. No sorry, ale nie odchodzi się od męża bez powodu. Musiał mieć dużo za pazurami. Tak samo te spotkania, które organizował. – Pije do zaproszeń Polek na kilkutygodniowe pobyty u niego.

Właśnie na takim wyjeździe go poznałam. Omar zapraszał dziewczyny z Polski, spędzał z nimi czas, z niektórymi uprawiał seks i płacił za to. Potem one wracały, a on ściągał z mojego kraju kolejne zabaweczki. Tak właściwie niewiele się różnił od tego kolesia spotkanego w aptece, ale trzeba mu



oddać, że zachowywał przy tym sto razy większą kulturę i szacunek.

– Już tak go nie broń – dodaje Zuza. – Mówię ci, na mój nos, on leczy swoje rany. Musi mieć jakiś powód, że tak ci pomaga. Skoro to nie miłość, a w przyjaźń damsko-męską nie wierzę, zostaje nam odkupienie win. Twój książę na białym wielbłądzie musiał ostro nawywijać, a teraz trwa rehabilitacja. Inna rzecz, że na miejscu jego żony czułabym się chujowo.

– No masz – fukam pod nosem.

Zuzka potrafi czasami bardzo celnie odgadnąć moje myśli i emocje. To właśnie ten moment. Ja też czułabym się słabo na miejscu Izy, wiedząc, że mój mąż pomaga obcej kobiecie, funduje jej lot do Rijadu, pożycza kasę na bardzo długie nieoddanie i tak dalej. Wystarczy pobieżnie policzyć, że wartość tego apartamentu i samochodu oraz wysokość kosztów, które poniósł przy zmianie prawa własności, opłat, mojego podatku od darowizny i innych już dawno przekroczyła sumę trzech milionów złotych. O ile nie więcej. Nigdy nie oddam mu tych pieniędzy, bo jak? To nie do zrobienia, kiedy głównym źródłem utrzymania są objazdowa stylizacja paznokci i usługi zakładania rzęs. Tylko dorywczo zdarza mi się wziąć udział w koncertach, kiedy zarabiam całkiem przyzwoicie, bo kilka tysiąków za noc.

– Ona o tym wie? – pyta Zuza, chociaż parę razy wspomniałam, że Iza zdaje sobie sprawę z poczyznań męża.



- No pewnie. Znamy się przecież.
- Ale nie osobiście.
- Przez internet. Rozmawiałam z nią. Śliczna kobieta, taka drobna, słodka blondynka.
- Pokazywałaś zdjęcia. – Kiwa głową. – Ma coś w sobie.
- Omar ją kocha nad życie – mówię, nie próbując udawać, że mnie to nie rusza.
- Bo rusza, i to bardzo.
- Minęło tyle czasu, a ja chyba nadal jestem w nim zakochana. Chociaż to głupie i beznadziejne, bo Omar nigdy nie opuści Izy i dzieci. Nie ma takiej opcji. Tak samo jak nigdy nie będzie ze mną. Nawet na jedną noc.
- Więc daj sobie spokój.
- Z czym? – pytam, bo nie rozumiem.
- Z oporami. Pomaga ci, bo tak mu się podoba. A co do tej Izy, ich sprawa, jak to mają ustalone między sobą. Nie mieszaj, skoro wszystko już nagrane. Leć i baw się dobrze.
- Łatwo jej mówić. Nigdy nie była zakochana, nie wie, jaki pierdolnik w głowie może zrobić miłość, zwłaszcza kiedy kocha się kogoś bez wzajemności.
- Bywają chwile, gdy żałuję, że nie odmówiłam od razu. – Wzdycham.
- Ale nie odmówiłaś i teraz rób, co należy. Nie zapomnij spakować tych maści. A nuż będziesz mieć klienta w potrzebie. – Chichocze.
- Zamierzam obsługiwać tylko kobiety.

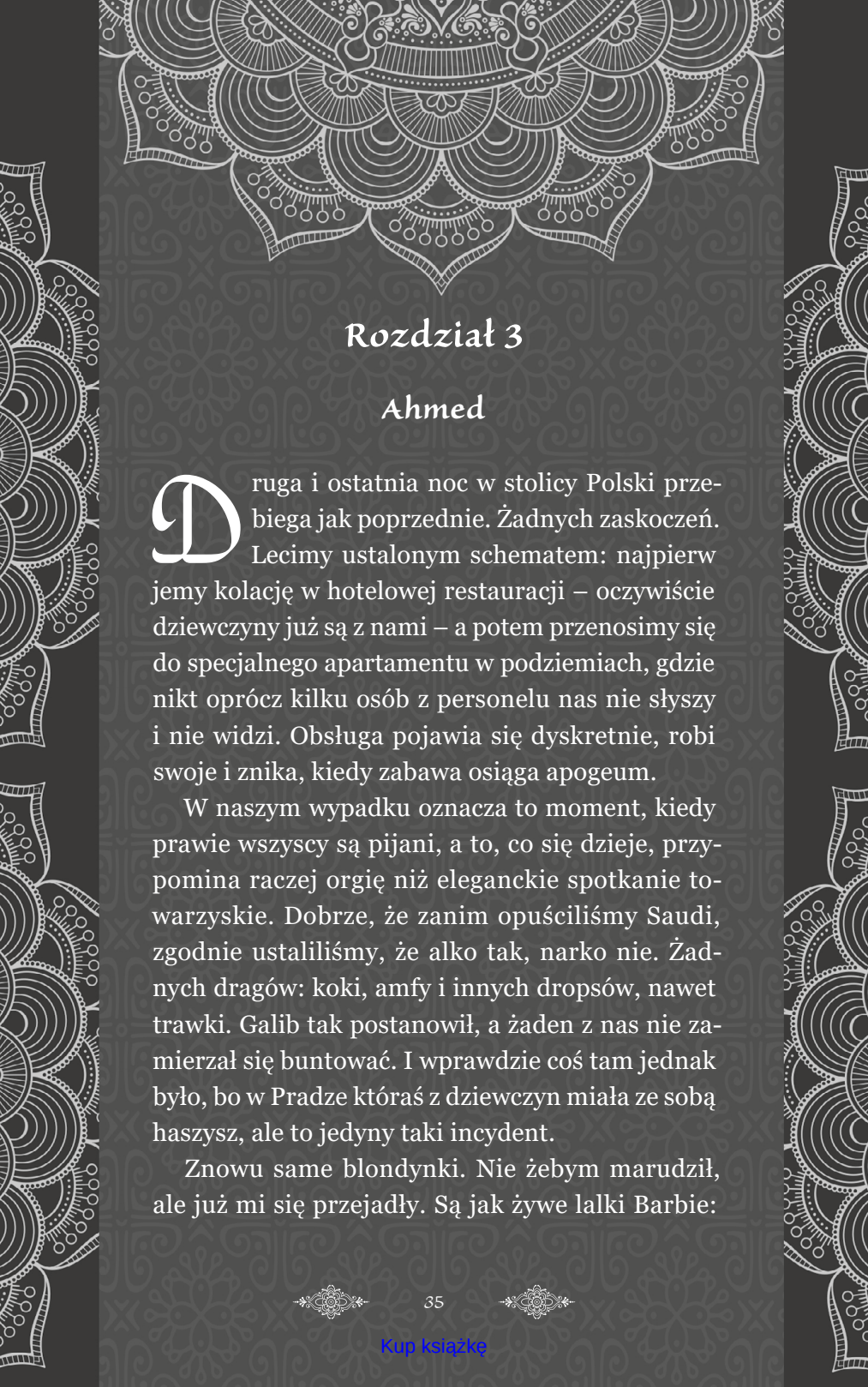


– A czemu? – Wyjmuje z szuflady wałek i naciera go oliwą. – Nie możesz przyjmować mężczyzn?

– Mogę, ale nie chcę.

– W sumie... – Przerywa na moment, żeby wytrzeć nadmiar oliwy w ręcznik papierowy. – Chyba też olałabym facetów. Same problemy z nimi. A zresztą zobaczysz na miejscu. Tak czy owak, żądam minimum trzech relacji tygodniowo. – Zerka na mnie.

– Masz to jak w banku.



Rozdział 3

Ahmed

Druga i ostatnia noc w stolicy Polski przebiega jak poprzednie. Żadnych zaskoczeń. Lecimy ustalonym schematem: najpierw jemy kolację w hotelowej restauracji – oczywiście dziewczyny już są z nami – a potem przenosimy się do specjalnego apartamentu w podziemiach, gdzie nikt oprócz kilku osób z personelu nas nie słyszy i nie widzi. Obsługa pojawia się dyskretnie, robi swoje i znika, kiedy zabawa osiąga apogeum.

W naszym wypadku oznacza to moment, kiedy prawie wszyscy są pijani, a to, co się dzieje, przypomina raczej orgię niż eleganckie spotkanie towarzyskie. Dobrze, że zanim opuściliśmy Saudi, zgodnie ustaliliśmy, że alko tak, narko nie. Żadnych dragów: koki, amfy i innych dropsów, nawet trawki. Galib tak postanowił, a żaden z nas nie zamierzał się buntować. I wprawdzie coś tam jednak było, bo w Pradze któraś z dziewczyn miała ze sobą haszysz, ale to jedyny taki incydent.

Znowu same blondynki. Nie żebym marudził, ale już mi się przejadły. Są jak żywe lalki Barbie:

identyczne, w podobnych ciuchach, szpilkach i z tym samym repertuarem tekstów, gestów, ruchów. Tak samo piszcza, chichoczą, kręcą tyłkami i opowiadają dokładnie te same bzdury. Mój mózg usycha. Jeszcze kilka takich nocy i sam zacznę chichotać, piszczeć i potrząsać silikonowym biustem, który wpierw sobie zainstaluję.

– A ty co taki poważny? Nudzisz się? – zagaduje do mnie jakaś biedaczka, chwilowo bezrobotna.

Jej koleżanki – w liczbie siedmiu – albo uprawiają seks z moimi kumplami, albo zabawiają się ze sobą. Oczywiście nie robią tego dla przyjemności, tylko po to, żeby podkreślić atmosferę. Co za nudy.

– Daj mi spokój. – Odpycham ją, bo próbuje na mnie siąść okrakiem.

Są okropnie namolne, kiedy wypijają.

– Nie podobam ci się? – Przekrzywia głowę i robi smutną minę.

– Masz jakieś imię? – Chcę wiedzieć, z kim gadam.

– Evelyn.

– A prawdziwe?

– Ono jest prawdziwe.

– Aha.

Widzę kątem oka, że Galib właśnie zakłada gumkę, i czuję mdłości. Chyba jestem zbyt trzeźwy na to wszystko. Wstaję z kanapy i idę w stronę windy. Jest prywatna, łączy ten apartament z niewielką restauracją piętro wyżej, ale dociera również do oszklonego tarasu znajdującego się na dachu hotelu. Odkryłem to miejsce wczoraj przypadkiem.



Oddycham z ulgą, skrywając się w luksusowej kabinie. Nie przeszkadza mi nawet to, że Evelyn dołącza do mnie. Stoi po drugiej stronie ciasnego wnętrza i szczerzy zęby.

– Numerek w windzie? – pyta, przechyliwszy prowokacyjnie głowę.

– Nie ze mną – odpieram.

Naprawdę mam dość seksu, alkoholu i hotelowego żarcia. Tęsknię za domem.

– Co to za miejsce? – pyta, kiedy wychodzimy.

– Nie wiesz?

Śmiej się, że nigdy tutaj nie była. Zauważyłem, że zna kolesia, który uzupełniał lód, a w restauracji puściła oczko do jednej z kelnerek. Musi tu bywać często.

– Nie – odpiera.

Podchodzi do szklanej ściany i wspiera o nią rękę. Czeka.

Założyła, że podejdę, zadrę kusą czerwoną kieckę i zerznę ją od tyłu. Możliwe, że innego dnia tak właśnie wyglądałby scenariusz, ale nie dzisiaj. Dzisiaj czuję przesyty. Mam ochotę z kimś pogadać. Szkoda, że padło na hotelową prostytutkę.

Zajmuję miejsce na narożnej kanapie i lekko zacieram dłonie. Jest zimno jak na lodowcu. Ogrzewanie działa, wyraźnie słyszę szum klimatyzacji, ale w tym kraju chyba nigdy nie jest wystarczająco ciepło i słonecznie dla przeciętnego Saudyjczyka. To dziwne miejsce, a te wszystkie kolorowe neony, światła biurowców i ulicznych latarni nie są w stanie zmienić



wrażenia, że Polska wygląda jak uśpiona. Ten kraj nie tętni życiem, ludzie są smutni, brakuje im wigo-ru. Nie ma ani kolorów, ani zapachów, ani muzyki.

Kraina zombie.

Musiałem to powiedzieć na głos, bo dziewczyna odrywa się od szyby i podchodzi bliżej. Siada i patrzy na mnie.

– Co mówiłeś? – pyta, znowu przechylając głowę.

Mam ochotę chwycić ją za uszy i wyprostować.

– Nic nie mówiłem.

– Mówiłeś. Coś o zombie.

– Przesłyszało ci się – zbywam ją.

Może się znudzi i wróci do mojej kompanii.

– Dziwny jesteś.

– Dziwny? – Unoszę brew. – Dlaczego?

– Nie bawisz się z resztą przyjaciół.

– Może mnie to nudzi?

– A co cię nie nudzi?

– Naprawdę cię to interesuje?

– Owszem. – Zrzuca buty i zmienia pozycję z prowokującej na taką zwyczajną, z jedną nogą wygodnie podwiniętą pod pupę. – Pewnie myślisz, że jestem jakąś głupią laleczką do ruchania. No powiedz. Ale szczerze. Wszystkie nas uważasz za puszczałskie idiotki, prawda?

– Mylę się? – Postanawiam kontynuować rozmowę.

Przynajmniej to coś innego niż seks i chłanie.

– Nie chciałbyś wiedzieć, co my o was myślimy. – Mruży powieki. – Czasami nie ma innego wyjścia,



a czasami ktoś idzie na skróty, bo taka praca... – Pokazuje palcami znak cudzysłowu. – ...przynosi spore korzyści finansowe. Nie oceniaj tego, bo nic o nas nie wiesz. Nic nie wiesz o mnie. Kim jestem, dlatego podjęłam się takiej pracy, jakie mam problemy.

– Ty też nic o nas nie wiesz, a jednak masz jakiś osąd. Bo masz. – Celuję w nią palcem wskazującym. – I wiesz co? Nie zamierzam z tobą polemizować, wpływać na ciebie, żebyś zmieniła opinię. Widzimy się pierwszy i ostatni raz w życiu. Jakie to ma znaczenie, co o sobie myślimy?

– Jakieś ma, skoro o tym rozmawiamy, zamiast być tam, z twoimi kumplami.

– Brawo. Jednak potrafisz myśleć.

Krzywi się i kręci głową.

– Wypchaj się – prycha pod nosem. – Jesteś beznadziejny. To myślę. Zadufany w sobie, znudzony bogaty dupek, który sądzi, że ma nad nami władzę, bo zapłacił za nasze towarzystwo. – Macha ręką. – Nic o nas nie wiesz. Nic. Potrafisz jedynie gardzić.

– Nie gardzę tobą. – Wzruszam ramionami.

– Coś ci powiem. – Znowu zmienia pozycję. Siedzi teraz bokiem do mnie, wsparta ramieniem o podłokietnik kanapy. Lekko się nachyla, żebym nie uronił ani słowa z jej perory: – Nie mogę wymagać od ciebie sympatii ani szacunku, bo dla ciebie jestem nikim, podobnie jak ty dla mnie. Jaka to różnica, czy udostępniasz swoje ciało za kasę, czy korzystasz z czyjegoś też za kasę? Żadna. To dokładnie to samo. Ale zapamiętaj jedno: zanim



kogoś ocenisz, pomyśl, czy masz prawo. Zanim zacznieś kimś gardzić, zastanów się, czemu to robisz. Bo tak właściwie może gardzisz sobą?

– Uważasz, że mam powód do gardzenia sobą?

Muszę przyznać, że ta laska mnie zaskakuje. Nie wiem, czy to nie jakiś dziwny spektakl, a Evelyn posługuje się przygotowanym wcześniej zestawem mądrości życiowych i zadaje pytania pełne filozoficznych bzdur, czy rozmawia ze mną szczerze.

– Nie wiem, co siedzi w twojej głowie – odpiera.

– A ty? – Próbuję przekierować rozmowę na nią. – Co siedzi w głowie Evelyn?

– Moglibyśmy o tym gadać do rana. – Nagle zmienia ton i parska śmiechem. – Ale z pewnością nie ma w niej pogardy.

– Zadufany bogaty dupek, który musi płacić za seks – przypominam jej w skrócie, co przed chwilą wygłosiła. – To nie jest pogarda?

– Błagam. – Przewraca oczami. – To zwykle fakty. Jesteś bogaty, płacisz za seks, masz przerośnięte ego – wymienia, pokazując na palcach.

– Okej, skoro nie jest to pogarda, z czym nie do końca się zgadzam, bo jednak ją wyczuwam w twoich słowach, to na pewno ocena. Oceniałś mnie, Evelyn. Jestem beznadziejny, zadufany w sobie i tak dalej. – Pierwszy raz podczas pobytu w Polsce, o ile nie w trakcie całej tej wycieczki po Europie, czuję się szczerze rozbawiony. – Czemu ty masz prawo do oceny, a ja nie?

– To fakty, nie ocena. – Kiwa głową.



Śmieję się w głos. Zaczynam lubić tę dziewczynę, a to jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Nie po to korzystam z usług seksualnych, żeby pałać sympatią do kobiety, która je świadczy. To tylko seks. Nic więcej.

– Zabawna jesteś – mówię szczerze.

– Ocena! – Znowu kieruje palec w moją stronę.

– Zgadza się. – Rozszerzam usta w uśmiechu. – Zamierzona. I prawdziwa. Lubię cię, Evelyn. Jesteś sympatyczna i zabawna, podobasz mi się. Nareszcie coś innego.

– O nie, szejku... – Patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. – Nic innego. Nic nowego. Po prostu wiem, czego oczekujesz, i dokładnie to ci daję. Byłeś znudzony, ale już nie jesteś. Możliwe, że za chwilę przelecisz mnie na tej kanapie. – Klepie skórzane siedzisko. – Ja osiągnęłam swój cel, a ty?

– Czyli cała ta rozmowa to zwykła manipulacja? – pytam nadal rozbawiony.

– Naturalnie, że tak.

– W jakim celu? – Kładę pod łokieć dłoń, a drugą podpieram brodę.

– Żebyś czuł się lepiej z samym sobą.

– Kontynuuj – zachęcam, chociaż domyślam się strategii Evelyn i przyznaję, że urosła w moich oczach.

– Bez wątpienia pomyślisz o sobie lepiej, kiedy będziesz uprawiał seks z kimś, kogo lubisz i znasz, choćby powierzchownie. Wówczas w takiej relacji pojawiają się pozytywne emocje. Może nawet



pomyślisz, że ja też odczuję satysfakcję z seksu, a to lechcze męskie ego.

– Bingo – oznajmiam. Trafiła w sam środek tarczy. – Ale skoro już wiem, że to twoja strategia i że cała ta rozmowa to manipulacja, jak mam nadal cię lubić? Oszukałaś mnie – mówię z udawanym wyrzutem. – Prawie dałem się nabrać.

– Dałeś się nabrać, bo tego chciałeś. – Mruga porozumiewawczo. – Ludzie cenią bliskość. Każdy człowiek. Bez wyjątku. Gdy kochasz się z kimś, kto jest zupełnie anonimowy, tracisz siebie. Nic do ciebie nie wraca. Bez znaczenia, czy w tym układzie jesteś klientem, a ja prostytutką, czy na odwrót. Oboje dajemy, nie otrzymując nic w zamian.

– Coś jednak otrzymujemy. Ty kasę, a ja orgazm.

– Ale wiesz, że kasa szybko znika, a orgazm jeszcze szybciej?

– A emocje zostają? – dociekam, choć wcale nie jestem pewien, czy to w ogóle ma sens, skoro Evelyn przed chwilą odsłoniła karty.

– A nie zostają? Co zapamiętasz z dzisiejszego wieczoru? Co zapamiętałeś z wczoraj?

– Nie było cię tutaj – mówię.

– A dzisiaj jestem.

– Jesteś.

– To jak, szejku? Wracamy? – Wskazuje brodą na windę. – Czy zostajemy? Trochę tu chłodno. – Ona też odczuwa lodowate powiewy wiatru przeciskające się przez nieszczelne szyby.



– A może inna opcja? – Kilka razy unoszę wymownie brwi.

Zjeżdżamy na piętro, gdzie są nasze apartamenty sypialne. Evelyn prawie wcale się nie odzywa. Przyjmuje lampkę szampana, a potem stoimy naprzeciwko siebie, ona wsparta plecami o futrynę, ja przy kominku, i powoli pijemy. W końcu odstawiam kieliszek i taksuję ją wzrokiem. Jest ładna i bardzo młoda, ale to może być mylne wrażenie, bo one wszystkie, z jasną oprawą oczu i gładką cerą jak u dziecka, wyglądają szalenie młodo i niewinnie.

– Po co tu przyszliśmy? – pyta luźnym tonem.

Już zupełnie porzuciła swój poprzedni prowokujący styl. Nie wygina się i nie chichocze. Czuję lekkie napięcie między nami. Lubię ten moment. Chyba oboje go lubimy, bo źrenice Evelyn rozszerzyły się znacząco i na pewno to nie efekt jednej marnej porcji słabego alkoholu. Lubię, kiedy kobieta mnie pragnie, a ta mała właśnie to czuje. Chyba że potrafi grać lepiej niż pierwszorzędna aktorka. Oddycha nieco szybciej, a jej policzki pokrywa rumieniec – to się dzieje wyłącznie pod wpływem mojego spojrzenia. Jeszcze nawet jej nie tknąłem.

Postępuję krok ku niej. I jeszcze jeden. Zabieram jej kieliszek i upuszczam na podłogę. Upadł na gruby wełniany dywan, ale to nie uchroniło go przed pęknięciem na dwie części. Biorę niską, drobną dziewczynę na ręce i zanoszę do sypialni. Szybko pozbawiam ją ciuchów, a kiedy rozpinam koszulę, nie



odrywam wzroku od jej piersi. Chyba są naturalne, niezbyt duże, jędrne i z otoczką brodawek jasną jak reszta ciała. Podniecający widok.

Nachylam się nad nią, a wtedy Evelyn unosi głowę i zaczynamy się całować.

– Rzadko to robię z klientami – mruczy pomiędzy jednym a drugim pocałunkiem.

Aha... czyli jednak jestem tylko zwykłym klientem? Śmieję się w duszy ze złośliwości tej blond panienki.

– Nigdy tego nie robiłem z... – Przez moment się zastanawiam, jakiego określenia użyć, ale wtedy ona mnie ubiega i kończy:

– Z dziwką.

Ostro gra.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – stwierdzam, co natychmiast wywołuje w niej rozbawienie.

– Ocena! – podnosi głos.

Chce coś jeszcze dodać, ale zatykam jej usta moimi.

Co najbardziej zaskakujące, kiedy czuję zwiastuny nadchodzącego orgazmu, zamykam oczy i nagle w mojej głowie pojawia się obraz tej pięknej dziewczyny widzianej rankiem w centrum handlowym. Finiszuję, a to właśnie ona krzyczy z rozkoszy w moich ramionach...

Znajdziesz mnie na:



www.wydawnictwomiraz.pl
www.beatamajewska.com.pl



<https://www.facebook.com/AugustaDocher>



https://www.instagram.com/augustadocher_beatamajewska/



<https://www.tiktok.com/@beatamajewska.pisarka>



<https://www.wattpad.com/user/augustadocher>



<https://lubimyczytac.pl/autor/113578/augusta-docher>
<https://lubimyczytac.pl/autor/142054/beata-majewska>

Książki z dedykacją kupisz na stronie: www.dobrarada.com.pl

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Korekta: Kinga Dąbrowicz – Zyszczyk.pl
Projekt okładki: Justyna Knapik (Facebook: @justyna.es.grafik)
Zdjęcie autorki: Samuel Kubarek
Źródła grafik:
okładka – diamb1 (depositphotos.com)
logo Wattpad – Pixel perfect (flaticon.com)
Druk: Drukarnia Abedik SA

Zamówienia hurtowe: biuro@infobis.pl
Dystrybutorzy:
L&L Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza – <https://ll.com.pl/>
Platon Sp. z o.o. – <https://www.platon.com.pl/>
Ateneum – <https://www.ateneum.net.pl/>
Księgarnia: www.dobrarada.com.pl

Copyright © Beata Majewska
Copyright © INFOBIS Rafał Głąb / Wydawnictwo Miraż, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I
ISBN 978-83-67657-61-7



Śledź mnie na Facebooku:

<https://www.facebook.com/AugustaDocher>

[Kup książkę](#)